

**Popłynę
przed
siebie
jak
rzeka**

Shelley Read

Przełożył Michał Juskiewicz

MARGINESY

Go as a River

COPYRIGHT © Shelley Read, 2023

International Rights Management:

Susanna Lea Associates on behalf of Spiegel & Grau, LLC

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Michał Juszkiewicz

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2024

Dla Richarda i Kathryn, moich rodziców i mentorów
Dla Avery'ego i Owena, moich źródeł inspiracji
I dla Erika, mojego zawsze

*Przychodzi taki czas,
kiedy mówisz lasom, morzu, góróm, światu:
jestem już gotowa.*

ANNIE DILLARD

Prolog

Wyobraź sobie, co zalega na czarnym dnie jeziora. Wszelkiego rodzaju szczątki, które naniosiła rzeka albo też ludzie wyrzucili ze swoich łodzi, rozmiękają w wodzie, porastając miękkim futerkiem szlamu. Ryby o odętych policzkach krążą własnymi niepojętymi ścieżkami, z dala od haczyka, oddech i ruch w nierozłącznej jedności. Wyobraź sobie wodorosty podobne do gibkich postaci kobiet wijących się w tańcu, którego nikt nie widzi. Stań na brzegu jeziora, gdzie lekka fala oblizuje czubki butów, i pomyśl, że tuż przed tobą, na wyciągnięcie ręki, roztacza się krajobraz tak samo obcy i milczący jak powierzchnia Księżyca, niedostępny dla światła, ciepła i dźwięku.

Na dnie takiego jeziora stoi mój dom. Nasza farma spoczywa w mule, lądząco podobna do cmentarzyska zatopionych łodzi. Po moim pokoju i po saloniku, gdzie w niedziele spotykaliśmy się całą rodziną, płaczą się pstrągi o lśniących łuskach. Butwieją ściany szop i koryta dla zwierząt. Rdza przeżera splątane kłęby drutu kolczastego. Ziemia, niegdyś tak płodna, leży odłogiem w tej mętnej zalewie.

W podręcznikach do historii powstanie zbiornika wodnego Blue Mesa może się jawić jako bohaterski czyn zrodzony z wielkiej, śmiałej wizji: pomóc ludziom, kierując bezcenną wodę z dopływów Kolorado na suche ziemie Południowego Zachodu. Ci, którzy zagrodzili tamą bieg dzikiej rzeki Gunnison, zamieniając ją na siłę w jezioro, działali być może w najlepszej wierze, ale ja znam inną historię tych stron.

W czasach, gdy Gunnison toczyła jeszcze swój wartki, pienisty nurt przez moją rodzinną dolinę, brodziłam w jej wodach zanurzona

po kolana, błędząc wzrokiem po górujących nad korytem rzeki wzniesieniach dzikiej, odludnej wyżyny Big Blue. Pamiętam miasteczko Iola, witające każdy nowy dzień bukietem śniadaniowych zapachów i poranną krzątanią na farmach i ranczach, pamiętam, jak promienie wspinającego się po niebie słońca najpierw oświetlały wschodnią stronę Main Street, a następnie powolutku wędrowały na obrzeża miasta, za tory i dziedziniec szkoły, aby wreszcie zapłonąć jasnym rozbłyskiem w okrągłym, czerwono-niebieskim witrażu miejscowego kościółka. Do odmierzania czasu służyły mi głuche gwizdy trzech miejscowych pociągów: dziewięta dwadzieścia dwie, czternasta zero pięć, siedemnasta czterdzieści siedem. Znałam w mieście wszystkich, każdy kąt i skrót, wiedziałam też dokładnie, która z sękatych brzoskwiń w sadzie należącym do mojej rodziny jest najstarsza i rok w rok daje najśodsze owoce. I chyba nikt tak jak ja nie odczuł przejmującego smutku tych stron.

Ludzie w dobrej wierze przenieśli miejski cmentarz wysoko na wzgórze – mam tylko nadzieję, że pod każdym nagrobkiem należącym do mojej rodziny spoczęły właściwe szczątki – i tam już pozostał, otoczony białym płotem z żelaznych prętów, pogiętych i powykręcanych od śniegu, bo zimą puchowe czapy są grube i ciężkie. Dzięki takim samym ludziom i tak samo dobrej wierze całe miasto Iola w stanie Kolorado zniknęło pod wodą.

Wyobraź sobie milczące, zapomniane ludzkie osiedle, murszejące w ciszy na dnie jeziora, które kiedyś było rzeką. Jeśli się zastanawiasz, czy spiętrzona fala może pochłonąć i zabrać ze sobą wszelkie radości i cierpienia, którymi nasiąkło takie miejsce, powiem ci, że nie, nie może. Krajobrazy lat młodości każdy z nas nosi w sobie, są budulcem, który nas tworzy, a my – zapisem tego, co te lata nam dały i co nam odebrały.

CZEŚĆ PIERWSZA

1948-1949

Rozdział pierwszy

1948

Nie robił wielkiego wrażenia.

W każdym razie na pierwszy rzut oka.

– Pani wybaczy – powiedział, lekko pociągając dwoma usmolonymi palcami za daszek podartej czerwonej czapki bejsbolowej. – Trafię tędy do noclegowni?

I tyle. Zwyczajne pytanie z ust brudnego, nieznanego człowieka, który akurat przechodził Main Street, kiedy wyszłam zza rogu na skrzyżowaniu z ulicą North Laura.

Spodnie, ogrodniczki na szelkach, miał czarne od węgla, podobnie jak dłonie. Myślałam, że to smar do osi albo ziemia po pracy na polu, chociaż ten brud był jednak zdecydowanie ciemniejszy. Policzki też miał umorusane. Pomiędzy strużkami potu prześwitywała śniada skóra. Spod czapki wystawały proste czarne włosy.

Ten jesienny dzień zaczął się tak samo zwyczajnie, jak zwyczajna była owsianka i jajka sadzone, które podałam na śniadanie mężczyznom z mojej rodziny. Nie rzuciło mi się w oczy nic niezwykłego: ani kiedy sprzątałam dom i oporządzałam potulne zwierzęta w zagrodach, ani kiedy zbierałam późne brzoskwinie do dwóch koszy, lekko dygocząc, bo przed południem bywało już chłodno, ani kiedy jak co dzień wsiadłam na rower, aby rozwieźć owoce załadowane do rozklekotanego wózka, ani też po powrocie do domu, kiedy zabrałam się do gotowania obiadu. Zdążyłam się już jednak nauczyć, że niezwykłość czai się tuż za cienkim przepierzeniem szarej codzienności, jak tajemniczy świat morskich głębin ukryty pod powierzchnią wody.

– Tędy wszędzie pan trafi – odpowiedziałam.

To nie był żart, nie starałam się też zwrócić na siebie uwagi, ale widząc jego krzywy uśmiech i lekko przechyloną na bok głowę, domyśliłam się, że moja odpowiedź go rozbawiła. Aż ścisnęło mnie w dołku, kiedy patrzył na mnie w ten sposób.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to małe miasteczko – dorzuciłam szybko, usiłując wybrnąć z niezręcznej sytuacji, aby było jasne, że nie jestem z takich, które celowo rzucają się w oczy, żeby chłopcy sterczący na rogu ulicy mogli je sobie oglądać, wymieniając znaczące uśmieszki.

Oczy nieznanego były czarne i lśniące, niczym skrzydło kruka. I pełne dobroci. To właśnie zapamiętałam najlepiej, od pierwszego ukradkowego zerknięcia aż po ostatnie spojrzenie: łagodność zdawała się tryskać z wnętrza jego źrenic, niczym woda ze studni, która wybiła. Wciąż uśmiechnięty, przyglądał mi się przez chwilę, a potem znów dotknął palcami daszka swojej czapki i z powrotem ruszył przed siebie, w kierunku pensjonatu pana Dunlapa, znajdującego się na samym końcu Main Street.

Ten zniszczony, dziurawy chodnik rzeczywiście prowadził wszędzie. Oprócz pensjonatu mieliśmy hotel Iola dla eleganckich przyjezdnych i przytuloną tuż za nim knajpę, dla trunkowych. Były też stacja benzynowa Standard Oil, sklep z artykułami żelaznymi, poczta – wszystko to prowadził pan Jernigan – knajpka, gdzie zawsze pachniało kawą i bekonem, oraz Big Little Store, sklep spożywczy pana Chapmana, gdzie oprócz zwykłych produktów można było kupić także delikatesy i nasłuchać się plotek ile dusza zapagnie, albo jeszcze więcej. Na zachodnim końcu ulicy znajdował się dziedziniec z wysokim białym masztem flagowym: po jednej stronie stała szkoła, do której kiedyś chodziłam, a po drugiej biały drewniany kościół, gdzie przed śmiercią mamy cała nasza rodzina zjawiała się co niedzielę w komplecie, wypucowana tak jak się należy. Dalej Main

Street kończyła się nagle, ucięta z boczem wzgórza, jak krótkie zdanie zakończone niespodziewaną kropką.

Szłam w tę samą stronę co nieznajomy – musiałam wyciągnąć brata z pokerowej spelunki za stacją benzynową pana Jernigana – ale nie mogłam przecież dreptać krok w krok za nim. Przystanęłam na rogu i osłoniwszy oczy dłonią, przyjrzałam mu się uważnie. Szedł powoli, spacerowym krokiem, jakby ta przechadzka była dla niego celem samym w sobie. Ręce, swobodnie opuszczone, kołysały się lekko, głowa jakby trochę nie nadążała. Spod szelek ogrodniczek wyglądała opięta, brudna biała koszulka z krótkim rękawem. Był szczupły, a umięśnione ramiona zdradzały najemnego robotnika.

Nagle, jakby czując na sobie mój wzrok, odwrócił się i uśmiechnął. Białe zęby błysnęły olśniewająco w umorusanej twarzy. Westchnęłam, spłoszona, że tak mnie przyłapał. Fala gorąca spłynęła mi po karku. Chłopak, dotknąwszy po raz trzeci daszka swojej czapki, odwrócił się i ruszył dalej przed siebie. Nie widziałam już jego twarzy, ale coś mi mówiło, że wciąż się uśmiecha.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że była to chwila brzemien-
na w skutki. Przecież mogłam zawrócić, skrócić z powrotem w North
Laura i pójść do domu, bo trzeba już było szykować kolację. Mogłam
zostawić Seta przy kartach, niech sobie sam wraca pijany na farmę
i pokaże się w tym stanie tacie i wujkowi Ogowi: będzie draka, a wszyst-
ko spadnie na jego głowę. Mogłam przynajmniej przejść na drugą stro-
nę Main Street, oddzielić się od nieznajomego szpalerem żółknących
topól bawełnistych i jezdnią, po której od czasu do czasu przemykał
jakiś samochód. Postąpiłam jednak inaczej i to przesądziło o wszystkim.

Zamiast zawrócić albo przejść przez ulicę, ruszyłam powoli przed
siebie. Intuicja podpowiadała mi, że każde uniesienie nogi i każde
dotknięcie stopą ziemi ma szczególną wagę.

Nikt nigdy nie rozmawiał ze mną o sprawach damsko-męskich.
Moja mama zmarła, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, i nie zdążyła mi

przekazać tych tajemnic, chociaż i tak pewnie niczego bym się od niej nie dowiedziała. Była cichą, obyczajną kobietą, bezwzględnie posłuszną Bogu oraz wszelkim normom. O ile pamiętam, kochała nas szczerze, mojego brata i mnie, ale jej uczucie dawało o sobie znać wyłącznie w ściśle określonych granicach, a naszym życiem rządził śmiertelny strach przed Sądem Ostatecznym. Od czasu do czasu miałam okazję dostrzec przebłyski jej starannie skrywanej żarliwości, na przykład kiedy okładała nas po siedzeniach czarną gumową packą na muchy albo gdy szybkim ruchem ocierała lzy po modlitwie, pozostawiając na dłoni ledwie widoczne ślady wilgoci, ani razu jednak nie widziałam, żeby pocałowała czy chociaż objęła mojego ojca. Byli zgodnym małżeństwem, wiedzieli, że mogą na sobie polegać, umieli dobrze zająć się rodziną i gospodarstwem, lecz nigdy nie dostrzegłam pomiędzy nimi miłości w tej szczególnej postaci, która łączy kobietę i mężczyznę. Nie dostałam żadnej mapy, aby odnaleźć właściwą drogę na tym tajemniczym lądzie.

Jeden jedyny raz zdarzył się wyjątek: w tamten ponury jesienny wieczór, niedługo po moich dwunastych urodzinach, kiedy szeryf Lyle wysiadł ze swojego długiego, czarno-białego służbowego auta na zwirowym podjeździe przed naszym domem. Zauważywszy tatę na podwórzu, podszedł do niego z widocznym ociąganiem. Widziałam to przez okno w saloniku, pokryte półprzezroczystą mgiełką mojego oddechu. Tata powoli osunął się na kolana, prosto w błoto po niedawnym deszczu. Stałam przy tym oknie, czekając na powrót mamy, kuzyna Calamusa i cioci Vivian. Pojechali we troje za przełęcz, do Canyon City, z dostawą zamówionych brzoskwiń. Mieli wrócić już dawno. Tata też ich wyglądał i tak się denerwował, że przez cały wieczór grabił rozmoknięte liście, które zawsze zostawiał na ziemi przez całą zimą, na kompost dla trawy. Kiedy ugiął się pod ciężarem wiadomości, które przekazał mu szeryf, moje młode serce pojęło dwie bardzo ważne rzeczy: po pierwsze, troje najbliższych nie wróci już

do domu, a po drugie – mój ojciec kochał moją matkę. Przy mnie nigdy nie okazywali sobie uczuć i nigdy o nich ze mną nie rozmawiali, ale w tamtej chwili zdałam sobie sprawę, że naprawdę nie były im obce: po prostu przeżywali je na własny sposób, cichy i spokojny. Ta subtelność wzajemnych relacji – na równi z całkiem suchymi oczami i rzeczową miną taty, który pożegnawszy się z szeryfem, przyszedł do domu, aby z ponurą powagą poinformować Seta i mnie o śmierci naszej mamy – uświadomiła mi, że miłość to prywatna sprawa dwojga ludzi. To oni mają o nią dbać i nikt inny nie może nawet jej oplakiwać. Należy do nich i tylko do nich, jak tajemny skarb, jak wiersz z osobistą dedykacją.

Poza tym byłam w tych sprawach całkowicie nieświadoma, a przede wszystkim nie miałam pojęcia, jak zaczyna się miłość: czemu na jednego chłopca można nie zwrócić najmniejszej uwagi, ale już następny przyciąga dziewczynę z ogromną siłą, nieodpartą jak grawitacja, i od tej chwili cały świat przesłania jej tęsknota.

Dzieliło mnie od tego nieznanego chłopaka zaledwie pół przecznicy; wypadło nam iść tym samym wąskim chodnikiem, w tym samym miasteczku zagubionym na pustkowiach Kolorado, tego samego dnia, o tej samej porze. Podążałam w ślad za nim, myśląc, że niezależnie od tego, jakie drogi go tutaj przywiodły, jakie przejścia i przygody, oboje mamy za sobą siedemnaście lat życia – bo na oko byliśmy mniej więcej w jednym wieku – i przez cały ten czas pozostawaliśmy całkowicie nieświadomi swojego istnienia. A teraz, nie wiedzieć czemu, nasze ścieżki przecięły się nieodwracalnie jak Main Street i North Laura.

Nagle serce zabiło mi żywiej, bo odległość pomiędzy nami zaczęła maleć: trzy domy, dwa i w końcu tylko jeden. Zrozumiałam, że to on zwalnia kroku, dyskretnie, po troszeczeku.

Nie miałam zielonego pojęcia, co zrobić. Jeśli też zwolnię, domyśli się, że robię to celowo, żeby nie zbliżyć się do niego za bardzo,

a przecież nie należy zwracać tak bacznej uwagi na nieznanego człowieka. Jeśli jednak będę szła dalej tym samym tempem, to szybko się z nim zrównam i co wtedy? Albo jeszcze gorzej: minę go i poczuję na plecach jego palący wzrok. Z pewnością zauważy, że idę koślawo, mam gołe łydki i znoszone skórzane buty, stara bordowa szkolna sukienka źle na mnie leży, bo już z niej wyrosłam, a proste brązowe włosy, niemyte od ostatniej niedzielnej kąpieli, prezentują się nader pospolicie.

Zwolniłam więc kroku. On zrobił to samo, jakby był związany ze mną jakimś niewidzialnym sznurkiem. Zwolniłam jeszcze bardziej, a on praktycznie stanął w miejscu. W końcu zatrzymał się naprawdę i znieruchomiał jak głaz. Nie mając innego wyjścia, też musiałam zastygnąć w bezruchu i tkwiliśmy tak na Main Street jak dwa durne posągi.

Wyczułam, że wcale nie zrobił tego dla hecy. Stałam sparaliżowana strachem i niezdecydowaniem, a pierwsze szepty budzącego się pożądania mąciły mi w głowie. Poznałam tego chłopca zaledwie kilka minut wcześniej, raptem tyle, ile potrzeba, aby przejść niecałą przecznicę, a już na myśl o nim wszystko przewracało się we mnie niczym garść kamyków niesiona nurtem strumienia.

Nie słyszałam za sobą poskrzypywania stalowych kółek dziecięcego wózka ani kroków pulchnej żony miejscowego lekarza. Kiedy pani Bernette nagle wyrosła obok, usiłując mnie ominąć na wąskim chodniku, spłoszyłam się jak wiewiórka.

Na ustach doktorowej pojawił się podejrzliwy uśmiech, a jej cienkie, mocno wyskubane brwi uniosły się w wyrazie niemego zapytania.

– Torie – powitała mnie lakonicznie, skrótem mojego imienia.

Z najwyższym trudem zdołałam skinąć uprzejmie głową; imię jej dziecka kompletnie uleciało mi z pamięci i nie pomyślałam nawet o tym, że mogę wykonać przyjazny gest i pogłodzić je po jasnej czuprynce.

Nieznajomy zręcznie usunął się z drogi, żeby pani Bernette mogła przejechać wózkiem. Przyjrzała mu się z ciekawością od stóp do głów i uśmiechnęła nieznacznie, kiedy powiedział „Uszanowanie”, grzecznie uchylając czapki. Na mnie zerknęła jeszcze przez ramię, marszcząc brwi, jakby głowiła się nad jakąś zagadką, a potem poszła dalej, kołysząc się jak kaczka.

Taka para jak ten chłopak i ja rzeczywiście musiała stanowić niezłą szaradę. Co to jest: raz powiązane ze sobą, łączą swe losy na zawsze? Odpowiedź: kukielki na jednym sznurku.

– Victoria... – Obróciwszy się w końcu twarzą w moją stronę, z nieskrępowaną poufałością zwrócił się do mnie moim pełnym imieniem. – A ty co, idziesz za mną? – Teraz to on popisывał się poczuciem humoru, a szeroki uśmiech świadczył, że własny dowcip bawi go tak samo jak wcześniej mój niezamierzony żart.

– N-nie... – zająknęłam się jak dziecko przyłapane na kradzieży miedziaka.

Nie powiedział już więcej ani słowa, skrzyżował tylko na piersi odsłonięte śniade przedramiona. Trudno było zgadnąć, czy zastanawia się nad swoim pytaniem, nad moim zachowaniem czy też może nad tym zbiegiem okoliczności, który doprowadził do naszej wymiany zdań.

W końcu, nie mogąc już dłużej wytrzymać niezręcznego milczenia, wyprostowałam się i udając opanowanie, zapytałam:

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Spostrzegawczy jestem – odparł. Bezpośrednio, lecz na swój sposób skromnie. – Victoria... – powtórzył raz jeszcze, powoli, chyba tylko po to, aby delektować się tymi trzema krótkimi sylabami. – Imię dla królowej.

Był czarujący, a jego urok nijak nie szedł w parze z niechlujną powierzchownością. Widział jak na dłoni, że robi na mnie wrażenie, chociaż ze wszystkich sił starałam się grać obojętną. Jego ciemne oczy złożyły mi propozycję, zanim padło choćby jedno słowo.

– Przejdziemy się? Ale tak, jak należy... – Wskazał dłonią miejsce obok siebie. – O, proszę.

Zwlekałam z odpowiedzią, bo chociaż owszem, chciałam z nim pospacerować, to poczucie przyzwoitości albo też szczerza dziewczęca wstydlivość podpowiadały mi, że lepiej tego nie robić. A może to było przeczucie?

– Nie, dziękuję – odparłam. – Nie mogę... To znaczy... Nie wiem nawet, jak masz na...

– Wil – przerwał mi, zanim zdążyłam zapytać. – Wilson Moon. – Odczekał, aż te dwa słowa wybrzmiały w moich uszach, a potem zbliżył się z wyciągniętą ręką. – Bardzo mi miło, panno Victorio. – Spoważniał niespodziewanie. Oczekiwał, że też wystąpię i uścisknę mu dłoń.

Po chwili nerwowego zawahania dygnęłam. Nie wiem, które z nas było bardziej zaskoczone taką reakcją. Dygałam w dzieciństwie, kiedy chodziłam jeszcze do szkoły niedzielnej, ale od tamtej pory już nie. Nic innego nie przyszło mi jednak do głowy, a dotknąć jego ręki bałam się straszliwie. Momentalnie zrobiło mi się głupio. Myślałam, że będzie się śmiał, lecz on tylko się uśmiechnął – najpierw półgębkiem, a potem promiennie, szeroko, szczerze, ale bez chociażby cienia kpiny. Pokiwał ze zrozumieniem głową, opuścił rękę, wsunął dłoń do kieszeni swoich brudnych ogrodniczek i stał już tylko spokojnie przede mną.

W tamtej chwili, zatrzymana jego spojrzeniem, nie mogłam tego pojąć, ale później miałam się nauczyć, że Wilson Moon nie odczuwa upływu czasu w sposób typowy dla większości ludzi i że generalnie bardzo niewiele rzeczy przeżywa w typowy sposób. Nigdy mu się nie spieszyło, nie wiercił się nerwowo, a milczenie nie było dla niego nieznośnie pustym naczyniem, które koniecznie trzeba wypełnić gadaniem o byle czym. O przyszłości myślał rzadko, a jeszcze rzadziej o przeszłości; żył chwilą obecną, zagarniał ją oburącz, aby podziwiać ze wszystkimi szczegółami. Nie oglądał się przy tym na nikogo i nigdy nie powstało mu w głowie, że być może powinien postępować inaczej.

Ale w tamto październikowe popołudnie, stojąc jak słup soli na chodniku, nie mogłam jeszcze tego wiedzieć. Dopiero później odkryłam jego mądrość i z czasem nauczyłam się ją stosować w chwilach największej potrzeby.

A więc tak, zmieniałam zdanie, przyjęłam zaproszenie na spacer i poszliśmy we dwoje główną ulicą miasteczka Iola: ja i Wilson Moon, chłopak, który przestał już być nieznajomym.

I chociaż spacer był krótki, a nasza rozmowa składała się ze zwykłych uprzejmości, to gdy dotarliśmy pod pensjonat pana Dunlapa, żadne z nas nie miało ochoty się pożegnać. Przystanąłam za Wilem na zjezonych drzazgami schodkach. Serce waliło mi jak oszalało.

Nie powiedział zbyt wiele o sobie. Nawet kiedy zapytałam, czy skrót od imienia Wilson pisze się przez jedno „l” czy przez dwa, wzruszył tylko ramionami i odparł: „Jak wolisz”. Tamtego dnia dowiedziałam się zaledwie tyle, że pracował w kopalni węgla w Dolores i że właśnie stamtąd uciekł.

– Miałem już tego po dziurki w nosie – wyjaśnił. – Któregoś dnia głos wewnętrzny powiedział mi: „Zbieraj się. Teraz, zaraz”.

Wagony z węglem do transportu linią kolejową Durango–Silverton stały już załadowane na torach – opowiadał mi dalej – a gwizd lokomotywy, długi, przenikliwy i natarczywy, zabrzmiał w jego uszach jak wezwanie. Jedno było jasne: te wagony jadą tam, gdzie go nie ma. Słyszając pierwsze zgrzytnięcie kół pociągu, błyskawicznie wspiął się po przerdzewiałej drabinie i zeskoczył na ciepły, czarny pokład węgla. Zauważył go brygadzysta, który puścił się w pościg, klnąc wielkim głosem i wściekle wymachując czapką. Wkrótce jednak i on, i cała kopalnia rozplynęły się w oddali, a Wilson Moon mógł spokojnie wystawić twarz na podmuchy wiatru.

– I nawet nie wiedziałeś, dokąd jedziesz? Gdzie skończy się ta podróż? – zapytałam.

– A po co? Chyba wszędzie jest tak samo, co nie?

Znałam tylko miasteczko Iola i jego okolice, tereny leżące nad szerokim i całkiem prostym w tych stronach odcinkiem rzeki Gunnison. Nasza nieduża miejscowość przycupnęła u stóp wzniesień należących do wyżyny Big Blue. Ich zbocza stanowiły jej południową granicę, a od zachodu i północy otaczały nas wyniosłe szczyty Elk Mountains. Na wschodzie, wzdłuż rzeki, niczym długi ogon ciągnęła się wielobarwna mozaika pól i pastwisk. Mój brat i ja urodziliśmy się na farmie, którą nasz ojciec objął w spadku po swoim, na łóżku z wysoką żelazną ramą, zajmującym połowę bladożółtej klitki dobudowanej na tyłach domu. Służyła wyłącznie gościom i rodzącym kobietom, a zmieniło się to dopiero po wypadku, kiedy zamieszkał z nami wujek Og. Nasza farma nie wyróżniała się absolutnie niczym, nie była też specjalnie rozległa, ot, dziewiętnaście hektarów, wliczając szopę, dom i zwirowy podjazd, długi jak wilczy skowyt. Tyle że od szopy aż do samego płotu na końcu naszej ziemi ciągnął się jedyny w całym hrabstwie Gunnison sad brzoskwiniowy, a owoce z tego sadu były dorodne, rumiane i słodkie. Wschodni kraniec działki biegł krętym brzegiem strumienia Willow Creek, który toczył czystą, świeżą, lodowatą wodę z topniejących górskich śniegów i nieustannie groził zalaniem naszym drzewom i skromnym grządkom z ziemniakami i cebulą, a wieczorami śpiewał kołysanki pod oknem mojego pokoju. Zasypiałam wsłuchana w jego szemranie, w łóżku z tralkami, tym samym, w którym przespałam prawie każdą noc mojego życia. Wschód słońca nad majaczącą w oddali górą Tenderfoot i gwizdy pociągów przejeżdżających trzy razy na dobę przez stację na skraju naszego miasteczka były dla mnie najbardziej niezawodnym czasomierzem. Wiedziałam, że w zimowe popołudnie promienie słońca wpadną ukosem przez okienko w kuchni, przycinając długi blat sosnowego stołu. Wiedziałam, że pierwsze dzikie kwiaty, które ukażą się wiosną na całej naszej farmie, to będą krokusy i fioletowe ostróżki, a jako ostatnie zakwitną wierzbowki i nawłocie. Wiedziałam, że w porze

wylęgania się jętek jaskółki gniazdujące na niedalekim urwisku pikują nad rzekę, gdy tylko zobaczą rój tych maleńkich owadów, i że dokładnie w tym samym momencie na zarzuconą przez tatę wędkę złapie się piękny pstrąg tęczy. Wiedziałam też, że najstraszliwsze burze, czarne i złowrogie jak sam diabeł, prawie zawsze nadciągają znad gór na północnym zachodzie, a tuż przed oberwaniem chmury milkną nie tylko wszystkie śpiewające ptaki w okolicy, ale też każdy kruk i każda sroka.

A więc nie, dla mnie tutaj nie było tak samo jak wszędzie, zauważyłam natomiast, że ten chłopak najwyraźniej nie ma pojęcia o tym, jak to jest mieć dom, i zaczęłam się zastanawiać dlaczego.

– I nie masz nic ze sobą? – spytałam, zaintrygowana życiem włóczykija.

– Nie, a po co? – powtórzył, wzruszając ramionami, i uśmiechnął się, jakby wiedział na temat dóbr osobistych coś, czego ja nie wiedziałam. Co ostatecznie okazało się prawdą. Ten człowiek miał mnie nauczyć, że dopiero życie odarte ze wszystkiego oprócz rzeczy najbardziej niezbędnych nabiera prawdziwego sensu, a zasadniczo najważniejsza jest determinacja, mocne postanowienie, aby żyć dalej. Gdyby powiedział mi o tym od razu, nie zdołałabym mu uwierzyć. Cóż, czas zmienia ludzi.

Nie umiałam wymyślić żadnego pretekstu, aby wejść za nim do pensjonatu. Nawet gdybym nie zjawiała się tu z nieznanym chłopakiem, to i tak młodej dziewczynie nie uchodzi zaglądać do domu noclegowego bez konkretnego powodu i bez zaufanej osoby towarzyszącej. Poza tym zbliżała się pora kolacji, a ja musiałam jeszcze wyciągnąć Seta z pokerowej spelunki i doprowadzić go do domu, zanim tata wróci od pana Mitchella; to był ostatni już dzień belowania siana.

– No dobrze... – westchnęłam, dając znak, że pora się pożegnać, lecz zamiast odejść, czekałam, aż Wil zrozumie aluzję i zrobi następny krok.

Tymczasem on, tak samo jak poprzednio, po prostu stał sobie swobodnie i uśmiechał się do mnie, niekiedy tylko spojrzął w niebo, jakby chciał coś wyczytać z pierzastych przedwieczornych chmur.

– Chyba lepiej już pójdę – powiedziałam w końcu. – Muszę zrobić kolację i tak dalej.

Wil jeszcze raz omiół wzrokiem niebo, a potem poprosił, żebym spotkała się z nim następnego dnia, pokazała mu miasteczko, przyniosła może kawałek domowego ciasta, coś w tym rodzaju.

– No bo w końcu – dodał – nie znam w tym grajdołku nikogo oprócz ciebie.

– Mnie też prawie nie znasz – zauważyłam.

– Jak to nie? – Puścił do mnie oko. – Tyś jest panna Victoria, królowa Ioli! – Zgiął się w pas, udając wytworny ukłon, i zakreślił dłonią, jak przed prawdziwą królową.

Parsknęłam śmiechem. Potem się wyprostował i tak długo nie odrywał ode mnie wzroku, że pomyślałam: jeszcze chwila i rozplynie się jak tabliczka czekolady w ostatnich promieniach słońca zagładającego na werandę pensjonatu. Milczał, ale miałam nieodparte wrażenie, że w jakiś niepojęty sposób ten człowiek zna mnie na wylot. Nagle zrobił krok w moją stronę. Po raz pierwszy poczułam wyraźnie jego zapach, intensywny, ostry i, o dziwo, zachęcający. Przez krótką chwilę zapatrzyłam się w jego przepastne ciemne oczy.

Jak można przeżyć siedemnaście lat i ani razu nie zadać sobie pytania: czy ktoś właściwie mnie zna? Jeszcze nigdy nie przyszło mi do głowy, że są ludzie, którzy potrafią widzieć innych takimi, jacy są w istocie rzeczy. Stałam na zakurzonych schodkach domu noclegowego i czułam się całkiem przezroczysta, jakby ktoś oglądał mnie pod światło. Dopóki nie poznałam Wilsona Moona, nie miałam pojęcia, że można tak się czuć.

Cofnęłam się onieśmielona, a potem zgodziłam się na spotkanie następnego dnia. Pragnęłam więcej jego obecności, tak jak pragnie się

słońca, które długo kryło się za chmurami. Zanim jednak zdążyliśmy się konkretnie umówić, ustalić godzinę, miejsce i przyczynę spotkania, znajomy głos dosięgnął mnie niczym ciśnięty celnie kamień.

– Torie!

Mój brat Seth stał chwiejnie na środku Main Street, a w lewej dłoni ścisnął brązową butelkę piwa.

– Torie, nie zbliżaj się do tego brudasa! – warknął bełkotliwie, wskazując butelką Wila. Piwo rozlało się ciemną plamą na ziemi.

– To mój brat. Upił się – westchnęłam tytułem wyjaśnienia i odwróciwszy się szybko, zesłam po schodkach pensjonatu pana Dunlapa. – Muszę iść – rzuciłam jeszcze z irytacją przez ramię i szybko podeszłam do Setha, żeby nie zdążył wszcząć awantury.

– Co to za bydlak? – burknął półgębkiem, bo w ustach dyndał mu lucky strike. To pytanie było skierowane raczej do Wila, nie do mnie.

– Nikt taki – odparłam, popychając go od tyłu z powrotem w kierunku skrzyżowania Main Street i North Laura.

Zawiesiłam obie dłonie na jego ramionach, jakbym trzymała lejce jakiegoś upartego muła. Byłam od niego ponad rok starsza, ale przerosłam go w okolicach swoich piętnastych urodzin, pół roku temu; od tego czasu przybyło mu jeszcze co najmniej pięć centymetrów. Tylko że ja wcale nie byłam wysoka, więc w porównaniu z rówieśnikami Seth nie mógł się pochwalić słusznym wzrostem. Zbudowany był za to mocno, jak bokser, i taki też miał temperament. Musiałam się bardzo wysilać, żeby zabrać go sprzed oczu Wila i innych gapiów. Trzeba było wracać do domu.

– Jakiś chłopak zapytał mnie o drogę i tyle – skłamałam, chociaż jeszcze niecały kwadrans wcześniej byłaby to szczerą prawdą. – Jest tutaj przejazdem.

– Beżowy sukinsyn...

– Seth, jak ty cuchniesz – przerwałam mu. – Gorzej niż ten chlewik, który miałeś wyczyścić. I lepiej, żebyś to właśnie robił, kiedy tata wróci.

– A chrzanić go – wybelkotał z pijacką odwagą, zaciągnął się ostatni raz papierosem i rzucił go na ulicę.

– Chociaż raz mógłbyś zrobić to, co ci każą, tak by było lepiej dla wszystkich. – Przydeptałam niedopałek i obejrzałam się na Wila, który wciąż stał na werandzie pensjonatu pana Dunlapa i mierzył mnie zaintrygowanym wzrokiem, jakby czytał pasjonujący kryminał.

– Prędszej świnię w tym obsranym chlewie zamienią się w orły i odlecą w siną dal, niż ja się będę ciebie słuchał, dziewczyno. Niech ci się nie zdaje, że możesz mi...

– Zamknij się, Seth – westchnęłam. – Zamknij się, do diabła ciężkiego.

Nie mogłam tego dłużej słuchać. Nigdy przedtem nie targało mną aż tyle złych uczuć do mojego brata i już wtedy ta awersja miała jakiś związek z osobą Wila. Były też inne, znacznie starsze przyczyny, związane z tatą i wujkiem Ogiem, a także z matką, kuzynem i ciotką, którzy powoli zaczynali mi się zacierać w pamięci, ale mój wstręt wobec Setha generalnie był jak dziki, najeżony kolcami oset: z każdym dniem życia pod jednym dachem kłuł mnie coraz bardziej.

Pchnęłam go w plecy, wkładając w to całą siłę. Zatoczył się od tego ciosu, zrobił kilka chwiejnych kroków, przyjął kolejny, zaczął kląć i pojękiwać, przez cały czas wymachiwał też tą swoją butelką, ale nie opierał mi się ani trochę. Może wypił już tyle, że było mu wszystko jedno, a może wiedział, że mam rację: zanim słońce schowa się za górami, musiał wziąć się do roboty w chlewiku.

Skręciliśmy w North Laura. Ulica kończyła się ślepo, a dalej prowadziła już tylko wąska, wydeptana ścieżka, zarośnięta dorodnym chwastem. Biegła samym skrajem gęsto zarośniętej sosnami ziemi szalonej Ruby-Alice Akers i wiła się zygzakami przez rozległą trawiastą łąkę. To była najkrótsza droga na naszą farmę. Seth i ja znaleźliśmy ją jak własną kieszeń. Kiedy byliśmy mali, mama kazała mi pilnować, gdy tędy chodzimy, czy to w jedną, czy w drugą stronę. Był

młodszy i znacznie bardziej nieodpowiedzialny, ale wystarczyło, że to chłopak. Kiedy już podrośliśmy, role się odwróciły i to ja go pilnowałam. Nikt mi nie kazał, po prostu musiałam i tyle, nie tylko ze względu na niego, ale także dla własnego dobra i dla dobra naszego taty. Choćbym się jednak nie wiem jak starała, nie byłam w stanie ochronić go przed nieszczęściem, które sam na siebie ściągał, i miałam już tego serdecznie dość.

Prowadziłam go pospiesznie tą ścieżką, pchając przed sobą, a on zataczał się i cały czas kłął w żywy kamień. Aż w którejś chwili butelka wypadła mu z palców. Zanim do mnie dotarło, co mam pod nogami, nadepnęłam na nią i poleciałam do przodu, wpadając od tyłu na Setha i przewracając się razem z nim. Prawym biodrem i łokciem zderzyłam się boleśnie z ziemią. Takie drobne rzeczy: niezręczne ręce pijanego chłopaka, upuszczona butelka, skręcona kostka, rozerwany rękaw sukienki. Często jednak najbardziej radykalne zmiany w życiu zawdzięczamy właśnie takim mało znaczącym, a brzemienym w skutki zwrotom akcji – w oddali rozlega się przyzywający gwizd pociągu załadowanego węglem, nieznajomy człowiek zadaje pytanie na skrzyżowaniu dwóch ulic, na ziemi leży butelka z brązowego szkła. Choćbyśmy z całych sił wmawiali sobie, że jest inaczej, to i tak nie mamy wpływu na to, które chwile nas kształtują, nie możemy ich sobie wybrać, tak jak przy zrywaniu brzoskwiń starannie wybiera się najdojrzalsze, najsmaczniejsze owoce. Każdego dnia człowiek po trochu staje się sobą, a na wyboistych bezdrożach życia zbiera ten plon, który jest mu dany.

Przez chwilę leżałam na ścieżce, całkowicie zdezorientowana. Seth zaśmiał się pod nosem, a potem ucichł. Moja kostka pulsowała bólem. Ostrożnie uniosłam się na łokciu i nagle oderwałam się od ziemi: to Wil wziął mnie na ręce, płynnym, pewnym ruchem, jak pan młody małżonkę w dniu ślubu. I chociaż na tej łące, porośniętej wysoką, suchą trawą i przywiędłą nawłocią, nie było żadnego progu,

przez który mógłby mnie przenieść, to w moim odczuciu właśnie wtedy go przekroczyliśmy. Nie wzdrygnęłam się, czując na sobie jego dłonie, nie opierałam się ich łagodnej sile, kiedy podniósł mnie jak piórko i przycisnął do uwalanej węglem piersi, nie próbowałam grać hardej i przekonywać, że dam radę iść sama, chociaż kostka zaczynała już puchnąć.

– Poszedłeś za mną – zauważyłam bez emocji w głosie.

– Mhm – mruknął, rzucając okiem na nieprzytomnego Setha, leżącego na skraju ścieżki. – Co z nim robimy? – zapytał.

– A nic, do diabła – odparłam, a on parsknął, rozbawiony.

„A nic, do diabła”, powtórzyłam w myślach, bezgranicznie zdziwiona swoim buntowniczym językiem i zachowaniem. Niech sobie leży i śpi na gołej ziemi. A mnie niech niesie na rękach ten nieznajomy.

Zadrzałam. Nie wiem właściwie dlaczego, z bólu czy może uderzyły we mnie pierwsze iskry rodzącej się miłości – zresztą jedno nie wyklucza drugiego – ale trzęsłam się na całym ciele, jakby Wil nie podniósł mnie z polnej ścieżki, tylko wyciągnął z zamarzniętego jeziora. Obejmowałam go mocno za żyłastą szyję, przez co przy każdym kroku głowa kołysała mu się lekko, jakby potakiwał. Czułam się w jego ramionach lekka jak małe dziecko i przepelniała mnie dziecięca ufność. To nie pasowało do mnie – przyjmować pomoc i opiekę od innych, tak ufnie widzieć intencje nieznajomego chłopaka. A mimo to – niósł mnie na rękach; to byłam ja. Znałam tę drogę od urodzenia, ale jeszcze nigdy nie pokonałam jej w taki sposób. Miałam wrażenie, że wszystko, co mnie otacza, odmieniło się odrobinę. Mój ojciec prawdopodobnie już wrócił i czekał na nas na farmie, a wujek Og, jak zawsze, czy też prawie zawsze, siedział na swoim wózku przy oknie albo na werandzie – albo jeden, albo drugi mógł zobaczyć, jak obcy człowiek niesie mnie na rękach przez łąkę. Przez tyle lat martwiłam się, co tata pomyśli, i bałam się gniewu wujka Oga, ale teraz w ogóle przestałam się przejmować ich opinią czy też reakcją.

Spoczywałam w ramionach Wila, które kryły w sobie taką siłę, że wszystko w porównaniu małało i nikło – mój ojciec i wujek, wszelki autorytet i wszelkie zasady. Nawet otaczające nas góry skarłały, nawet konsekwencje naszych czynów straciły na znaczeniu.

Wychodząc rano z domu, byłam zwyczajną dziewczyną, a dzień też był zwyczajny, jak co dzień. Teraz co prawda nie umiałam jeszcze przeczytać tej nowej mapy, która otworzyła się w mojej duszy, ale czułam, że wracam do domu odmieniona. Uczyłam się kiedyś w szkole o odkrywcach i coś mi mówiło, że tak właśnie musieli się czuć, widząc, jak z morza, które wydawało się bezkresne, wyłania się odległy i tajemniczy brzeg. Nieoczekiwanie i ja odkryłam coś w sobie, lecz jak Magellan, nie wiedziałam, co to takiego. Ułożyłam głowę na szerokim ramieniu Wila, myśląc o tym, skąd przybywa, wśród jakich ludzi się obraca i jak długo włóczykij może przebywać w jednym miejscu.